



PARADA

Step. X.M.



ROK III

NIEDZIELA, 29 LIPCA 1945 R.
SUNDAY, JULY 29, 1945

Nr 16 (60)

CENA EGZEMPLARZA: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mils., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 ris., w Anglii 9 d., w Afryce Wsch. 6 d.,
we Włoszech 12 lirów, we Francji 5 fr.



Na tatrzańskiej hali

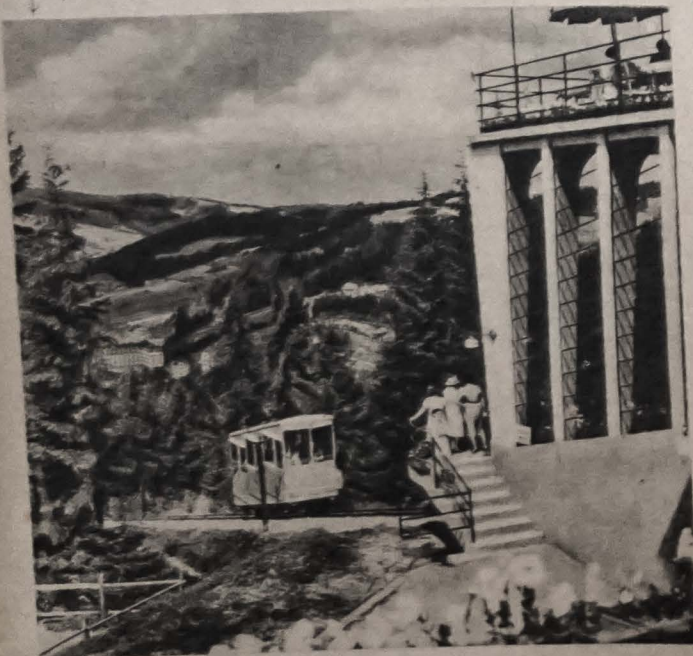
Zakopano

Święto polskich gór

Kasprowy Wierch



Krynica — Parkowa Góra



ROZKAZ Nr 80 DOWÓDCY 2 KORPUSU GEN. DYW. WŁADYSŁAWA ANDERSA



Dowódca 2 Korpusu General Dywizji Władysław Anders w towarzystwie zastępcy dowódcy Korpusu Generala Dywizji Bohusz-Szyszko

towarzyszy broni, którzy bili się i umierali w imię Polski niepodległej, całej i naprawdę wolnej.

Ta historyczna rola, jaka przypadła Wojsku Polskiemu na obczyźnie, jest oczywiście solą w oku naszych nieprzyjaciół. Będą się oni starali zniszczyć nasze Siły Zbrojne. Wszyscy będziemy pod ostrzałem ich podstępnej agitacji. Będą wzywali nas do rzekomego powrotu do Kraju, który wiadomo czym by się skończył. Będą szukali wśród żołnierzy polskich ludzi o słabszej woli i nerwach. Ta robota będzie utalwiona o tyle, że po cofnięciu uznania legalnemu Rządowi R. P., władze polskie pozbawione zostały instrumentów uświadamiających, choćby w postaci audycji radiowych z Londynu, które teraz przestały służyć Sprawie Polskiej.

Nie wątpię ani na chwilę, że żołnierze 2 Korpusu, którzy wiedzą dlaczego i o co Polska od tak dawna walczy, potrafią przeciwstawić się wrogim zakusom. Jesteśmy jedną wielką rodziną, która nie poruszyła drogi przymusu, ale wzajemnego związania się w służbie dla wspólnej sprawy i takiej rodziny, związanej dobrowolnie zadzierzgniętymi węzłami, chcemy pozostać. Ale niechęć do stosowania przymusu, to jeszcze nie zgoda na rozbijanie nas przez wrogów. Wręcz przeciwnie: w odpieraniu takich ataków wroga będziemy solidarni i mocni.

Żołnierze! Znacze mnie nie od dzisiaj. Dziesiątki tysięcy spośród Was pamiętają chwile, jakie wspólnie przeżyliśmy w Rosji Sowieckiej. Oparty o Wasze zaufanie, świadom odpowiedzialności, jaka na mnie ciążyła, szukałem wówczas wyjścia z sytuacji pozornie beznadziejnej. Bóg pobłogosławił moim wysiłkom. Znaleźliśmy się na ziemi choć obcej, ale przyjaznej, na której dane nam było przysposobić się do przyszłych zwycięskich bojów. W tych bojach na historycznym szlaku MONTE CASSINO—ANCONA—BOLOGNA ukształtował się ostatecznie nasz wspaniały, od triumfu do triumfu idący 2 Korpus.

Przyszłość 2 Korpusu w ciężkich chwilach jakie nadchodzą jest zapewniona. Mam na myśli zarówno środki potrzebne nam do życia, jak i do dalszego szkolenia. Mam na myśli nie tylko sprawy materialne, związane bezpośrednio z nami, ale także sprawy rodzin na obczyźnie żołnierzy 2 Korpusu. Cokolwiek będzie, jakkolwiek rozwiną się wypadki — Ja osobiście oraz wszyscy Wasi przełożeni, pozostając razem z Wami w dobrej i złej doli, dadzą ze siebie najwyższy wysiłek, aby naszego wspólnego dorobku strzec, aby zeń niczego nie uronić, aby go pomnożyć ku chwale i pożytkowi Ojczyzny.

Zmuszony dziś do milczenia Kraj patrzy w naszą stronę. Chce nas widzieć na Ziemi Ojczyściej, do której i my dążymy i tęsknimy z całego serca, ale chce nas widzieć nie jako niewolników obcej przemocy; chce nas widzieć z rozwiniętymi sztandarami jako chorążych i zwolastunów prawdziwej wolności.

Gdy taki powrót dziś jeszcze nie jest możliwy, trzeba nam w zwartych, karnych szeregach czekać na pomyślną zmianę warunków. Zmiana ta nadejść musi. Gdyby bowiem miało być inaczej, to wówczas straszliwe i krwawe ofiary całego świata, poniesione w ciągu 6 lat, byłyby daremne. Nie można zaś wyobrazić sobie, by ludzkość nagie oślepta i naprawdę zatraciła świadomość śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Żołnierze! Kto ma nieugiętą wolę walki o życie i prawo, musi w końcu zwyciężyć. Przeczytaliśmy w ostatnich dniach owiane taką wiarą i przepojone taką wolą orędzie Prezydenta R. P., Rządu Polskiego i Rozkaz Naczelnego Wodza. Wypełnimy nasz obowiązek względem Ojczyzny i Jej prawowitych władz.

Najjaśniejsza Rzeczpospolita Polska Niech Żyje!

ŻOŁNIERZE!

Zwracam się do Was w chwili wyjątkowo ciężkiej, ale i wyjątkowo doniosłej. Rządy mocarstw zachodnich postanowiły uznać narzucony Polsce przez okupanta tak zwany Prowizoryczny Rząd Jedności Narodowej, a tym samym cofnąć uznanie prawowitemu Rządowi R. P. w Londynie.

Dotknął nas cios ciężki, tym cięższy, że nieczym nie zastąpionym. Polka przez 6 lat trwała niezłomnie w walce ze wspólnym nieprzyjacielem Narodów Zjednoczonych. Ponieśliśmy olbrzymie straty i złożyliśmy na ołtarzu wolności straszliwe ofiary. Nie daliśmy się nigdy skusić obietnicami i nie zesłaliśmy z raz obranej drogi. Dotrzyliśmy w stosunku do naszych Allantów wszystkich umów i wszystkich zobowiązań. Nie ma nikogo, któryby mógł zarzucić nam cokolwiek w tym względzie. Naród Polski, Żołnierz Polski patrzy śmiało w oczy sojusznikom i namołodom postronnym, świadom, że Polska wzniosła się w tej wojnie na najwyższe szczyty poświęcenia i męstwa.

Mimo to przekreśla się dziś podstawowe prawa naszego Narodu zorganizowanego w Państwo. Można tego świata przechodzić do porządku nad naszą Konstytucją, nad naszymi prawowitymi władzami i dla do różnych koniunktur godzą się na fakty stworzone w stosunku do Polski i Polaków przez obcą przemoc.

Żołnierze! Zostaliśmy w tej chwili jedyną częścią Narodu Polskiego, która ma możność i obowiązek głośnego wyrażania swej woli i właśnie dlatego trzeba, abysmy słowem i czynem dziś stwierdzili, że jesteśmy wierni naszej przysiędze żołnierskiej, wierni naszym obywatelskim obowiązkom względem Ojczyzny, wierni testamentowi naszych poległych

NASZA OKŁADKA



Merzkie Oko

Fot. T. Zwiastowski

W NUMERZE:

OETARZ WITA STWOSZA W KOS-CIELE MARIACKIM W KRAKOWIE

KIEDY „D-Day” NA DALEKIM WSCHODZIE?

TAJEMNICZE BRONIE: KARABIN Z KRZYWĄ LUFĄ

REPORTAŻ Z KLASZTORU DERWISZÓW

LISTA OSÓB POSZUKIWANYCH

Dywizjon Bombowy Ziemi Mazowieckiej pomaga Polakom w Niemczech



↑ Dwie uwolnione rodziny polskie, „gdzieś w Niemczech”



↓ Uwolnione z niewoli niemieckiej Polki — żołnierze Armii Krajowej

Pierwszy polski Dywizjon Bombowy Ziemi Mazowieckiej zakończył swoje walki lera, i już w parę dni później przeszedł do innej, bardziej pokojowej pracy. Naniomnych jeńców, a następnie zrzucając żywność głodującej ludności Holandii. Jak mi opowiadali lotnicy Dywizjonu, byli to bodaj najpiękniejsze ze wszystkich ich lotów. Latali na niskiej wysokości i mogli dokładnie widzieć reakcję holenderskiej ludności, która na widok krążących nad nią Lancasterów wybiegała na place, ulice i drogi, wyłaziła na dachy i pozdrawiała lotników.

Sam dół do placu zrzutów, oznaczony wielkim białym krzyżem nie był bardzo trudny, lecz niewiadomym było, czy Niemcy nie otworzą do nich ognia. W dniu 20 maja br. lotnicy Dywizjonu Ziemi Mazowieckiej rozpoczęli transportowanie lekarstw i odzieży dla Polaków, uwolnionych na terenach Rzeszy. Robią to odczeka, rozumiejąc, że pomoc dla braci, wyrwanych z rąk Niemców, jest teraz najpilniejszą sprawą. Ogółem do 12 czerwca br., w siedmiu wyprawach lotnicy polscy przewieźli na kontynent około 120.000 funtów lekarstw, przyrządów lekarskich, witamin i odzieży, dostarczonych z Londynu przez PCK i Min. Opieki Społecznej na lotnisko Dyonu. Wszystko, co Londyn przesał, było przepakowane i załadowane już w paru godzinach, a ilość wypraw Dyonu jest zależna od ilości dostarczonych rzeczy.

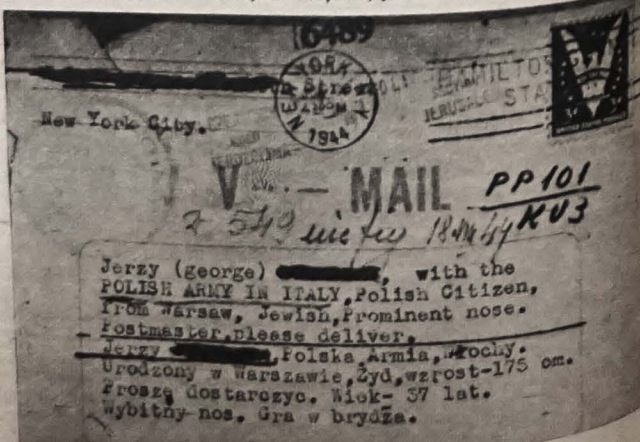
Warto się przyjrzeć pracy, jaką personel lotniczy wykonuje przed każdą wyprawą, przepakowując nadesłane rzeczy w paczki, zdane do odbycia podróży w bombowcu. Kto tego nie widział, nie potrafi ocenić. Bo nie jest prostą rzeczą przepakować tysiące buteleczek z lekami, setki butów i ubrań, z których każde osobno trzeba brać do ręki, kłaść w specjalne pudełka, czy też zawiązać w pakiet, a ten znowu załadować w specjalny zasobnik, będący pozostałością po zużytych bombach. Gdy wszystko jest już dokładnie przepakowane i gotowe do drogi, do hangaru, zamienionego w olbrzymią pakownię, zajeżdżają ciągniki z wózkami bombowymi i zabierają transport na lotnisko do maszyn. Rzeczy załadowane w wielkie zasobniki zostają podwieszane w komorach bombowych, a paczki załadowane do wnętrza Lancasterów. I to też nie jest proste, bo maszyna bombowa ma w swym wnętrzu tak wielką ilość przeróżnych urządzeń wojennych, że trzeba się dobrze nagłowić, aby w niej ulokować „pokojowy” ładunek. Kiedy już wszystko jest rozmieszczone i załadowane, personel lotniczy, ocierając pot z czoła, idzie na odprawę do „crewroomu”.

Start jest zawsze rano lub wczesnym popołudniem, tak aby po załadowaniu transportu w Brukseli, Lancaster mogły w tym samym dniu powrócić na swoje lotnisko. Oprócz samolotów, wiozących skrzynie i paczki, leci jedna maszyna i personelem, który wyładuje bagaż na miejscu lądowania.

Duszą tej całej akcji są „inteligenci” stacji, niewyczerpani, w pomysłach i nie tylko pilnujący, aby wszystko „grało”, ale i sami pracujący.

Lotnicy Dywizjonu pracują bezimiennie i tylko na wszystkich zasobnikach i skrzyniach, jakich dostarczają na teren kontynentu, malują krótki napis: „Przewiezione przez polskie lotnictwo”. — Nie wątpię, że to wystarczy. Znam polskie obory w Rzeszy i wiem, co oswojonych z rąk niemieckich Polacy mówią o polskim lotnictwie, które pierwsze i to prawie od chwili uwolnienia, tam na kontynencie, niosło im bezcenną opiekę i pomoc. I wiem, jak dużo wiedzą o polskich lotnikach i o ich nieprzerwanym sześciolletnich bojach, staczanych — za wolność Władysław Leny-Kisielewski

Taka nadeszła karta z Ameryki... Przykład, jak nie należy poszukiwać rodzin



Pamiętacie chyba jeszcze... te pierwsze listy, wysyłane po Wrześniu na wszystkie strony, pisane spontanicznie, z obawą i nadzieją, czy pójść śladem naszych najbliższych, o których nic nie wiedzieliśmy. I te odpowiedzi — dobre i złe, ale zawsze lepsze od częstej równości pustki milczenia. To były pierwsze, nie najczęściej indywidualne poszukiwania na najczulszym szlaku migracji, jakiej nie znała żadna z poprzednich wojen.

Oubiliśmy się i odnajdowaliśmy, ciągle od nowa, w miarę jak wojna coraz więcej krajów i ludzi zagarniała, w miarę jak nas właśnie, Polaków, rzucała przez kontynenty i morza. Odnajdowała się jednak mniejszość, bo znaczna większość jest ciągle jeszcze rozproszona — bez rodziny i domu. I szuka stale — krewnych, znajomych, śladu tego, co było i zapadło się, co trwa we wspomnieniu i upartej nadziei.

Kłeska Niemiec i oswojonych milio- nów Polaków z obozów jenieckich, koncentracyjnych i z miejsc przymusowej pracy, obudziło znowu wiele nadziei odnalezienia zaginionych dotychczas osób. Szukamy się znowu.

Do roku 1943 poszukiwania zaginionych osób odbywały się w sposób przede wszystkim indywidualny. Osoby poszukujące zgłaszały się do placówek Polskiego Czerwonego Krzyża, które starały się zdobyć ostatni adres poszukiwanego i umożliwić kontakt obu zainteresowanych. Możliwości były tu, w czasie wojennym, dość ograniczone. Niezależnie od tego część prasy polskiej ogłaszała listy osób poszukiwanych. Akcja ta jednak, rozstrzelona i nie ujęta w całość, nie mogła dać należytych wyników. Trzeba ją było zcentralizować.

Stworzona i działająca na terenie Środkowego Wschodu Centrala Poszukiwań PCK dąży do rejestracji rozproszonych osób, między innymi przy pomocy specjalnych kart, jakie poszukujący wypełniają i przesyłają do Centrali. Specjalne drukowane wykazy nazwisk osób poszukujących i poszukiwanych są przesyłane przez Polski Czerwony Krzyż do wszystkich niemal krajów.

Jakie są wyniki tych poszukiwań? W kartotekach pomyslnie wyniki znaczone są czerwonymi kartkami tych wszystkich, którzy „gdzieś na świecie” przeczytali wykaz PCK i nadesłali swoje zgłoszenie. Jest ich dużo, ostatnio także z terenu Niemiec. Ale byłoby ich na pewno więcej, gdyby poszukujący przesyłali Centrali bardziej dokładne i rzeczowe dane, a wszyscy zainteresowani dokładnie przeglądali ogłaszane wykazy i wypełniali karty poszukiwań.

Akcją swą Centrala Poszukiwań obejmuje również listy, które nadchodzą z różnych stron świata z adresem tylko częściowym lub — co nieraz się zdarza — w ogóle bez adresata. Ogłaszane w takim wypadku nazwisko wysyłającego często pomaga odnaleźć adresata i list wędruje dalej zgodnie z właściwym przeznaczeniem. Wreszcie są także listy nie doręczone, zwracane przez różne ośrodki polskie, z których adresat wyjechał, najczęściej bez podania swego dalszego adresu. Przesyła je się do Centrali, porządkuje i ogłasza — może i tutaj ktoś jeszcze się zgłosi.

Zaprzestanie działań wojennych otwiera akcji poszukiwania rodzin lepsze i szersze niż dotychczas możliwości. Jest to praca, która interesują się najściślej miliony ludzi. Jest to zadanie, wymagające możliwie największego wkładu sił. I pomocy ze strony wszystkich czynników. T. S.

Polki wyzwolone na obszarach Niemiec — pełnią dziś służbę w Polskiej Armii. Oto scena z obozu ćwiczebnego RAF'u. Instruktorka ogląda tatuowany numer byłej więźniarki z Oświęcimia

POSZUKIWANIE ZAGINIONYCH OSÓB

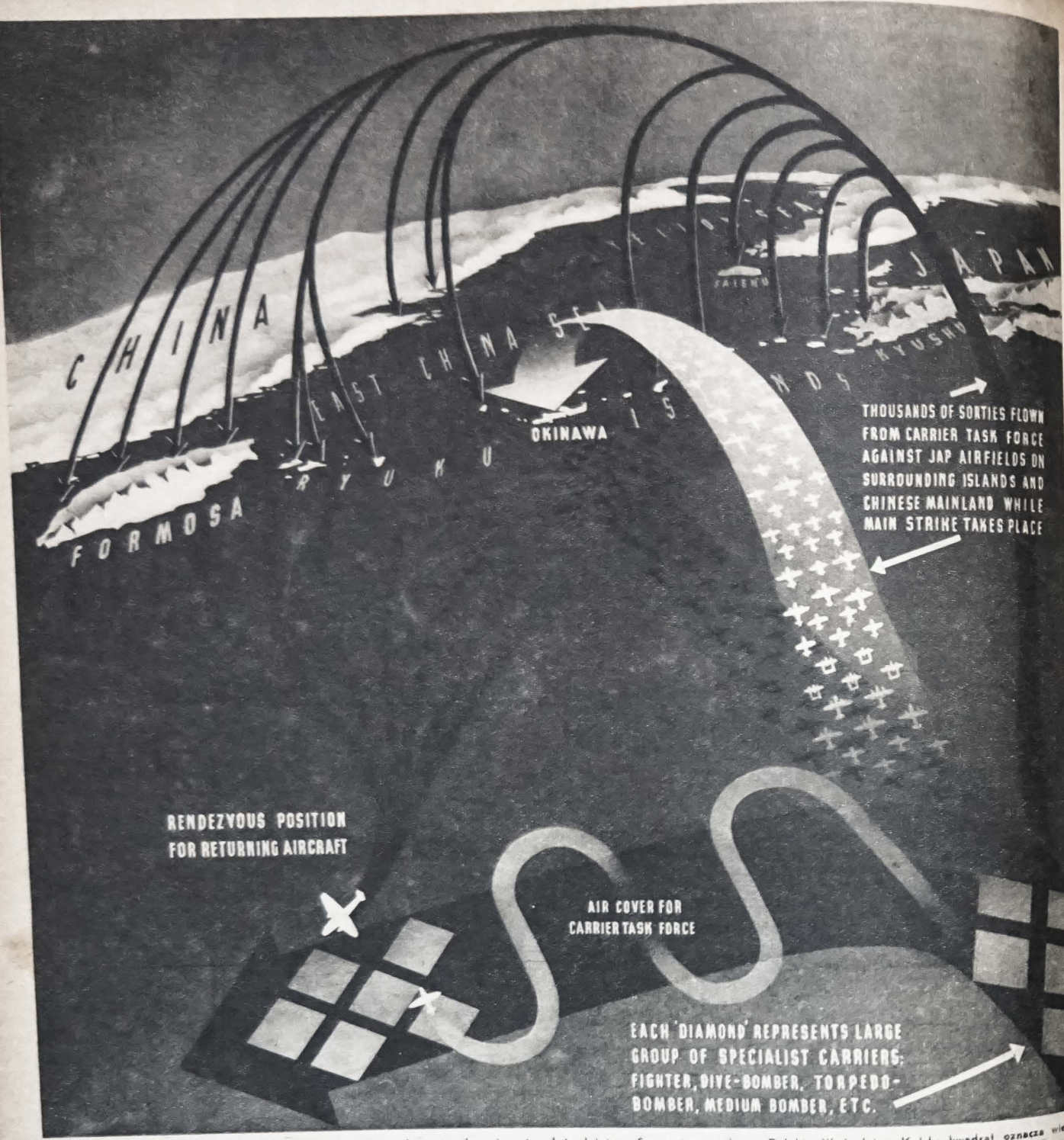


Pod Londynem, grupa Polek — b. żołnierzy Armii Krajowej — Dzieci polskie urodzone w niewoli — w obozach jenieckich szkolą się obecnie w obozach W. R. N. S.



Polki — żołnierze Armii Krajowej — rannę w czasie walk w stolicy w sierpniu ubiegłego roku





Powyżej zamieszczony diagram Edgara Longmana przedstawia schematycznie akcję lotniczą Sprzymierzonych na Dalekim Wschodzie. Każdy kwadrat oznacza wielkie ugrupowanie lotniskowców; linie fioletowe — parabol lotniczy; białe i czarne strzały — kierunek i nasilenie różnorodnej akcji lotniczej

JAPOŃCZYCY WYBRALI ŚMIERĆ

ARTYKUŁ NAPISANY PRZEZ KORESPONDENTA „PARADE” — J. MURRAY-SMITH'A

Wola całkowitego pobicia Japończyków ożywiająca Imperium Brytyjskie i Stany Zjednoczone z jednej strony — oraz nieubłagany, dziki fanatyzm matych złotych ludzi z drugiej — sprawiają, że decydująca bitwa na teatrze Dalekiego Wschodu będzie najkrwawszym widowiskiem niezakończoną jeszcze drugiej wojny światowej.

Człowiek zachodni nie jest w stanie pojąć samobójczego fanatyzmu żołnierzy japońskich i tylko dłuższe studium krwawej historii Kraju Kwitnącej Wiśni może umożliwić wnikiwie w istotę grozy japońskiego niebezpieczeństwa. Bez znajomości filozofii Szinto, bez znajomości wieloletniej tradycji japońskiej — budowanej pokoleniami na krwi i pogardzonej jednostki — niepodobnym jest pojąć tego wszystkiego, co dzieje się w japońskich obozach koncentracyjnych, w japońskich obozach dla jeńców i w strefach przez nich okupowanych.

Na Iwo Jima Japończycy walczyli do

ostatniego żołnierza. Amerykanie zabili musieli co do jednego 20 tysięcy obrońców wyspy. Na Leyte musieli znieść 125 tysięcy, na Okinawie 105 tysięcy itd.

Żołnierz japoński nie kieruje się strategią w europejskim tego słowa znaczeniu. Zgodnie z tradycją, z wychowaniem religijnym i z propagandą popartą nieubłaganym terrorem Japończyk, który podjął walkę nie ma odwrotu. Japończyka można wziąć do niewoli tylko wówczas, gdy jest ciężko ranny i nie ma dość sił, aby popełnić samobójstwo.

Wymowną ilustracją tego fanatyzmu są cyfry. W czasie ostatnich miesięcznych walk w Burmie wzięto załazdnie 150 jeńców. Armia japońska nie cierpi również na brak ochotników do eskadr „Kamikaze” — eskadr lotników-samobójców. Przed startem do samobójczego lotu dowódcy pilotów odprawia tradycyjny pogrzebowy ceremoniał i wpisuje nazwisko członka eskadry na listę poległych za cesarza. Na samolocie pilota-samobójcy

wypisana jest sentencja: „Im dokładniej wypełnisz zadanie, tym twoja śmierć jest pewniejsza”.

Amerykańskie lotniskowce ucierpiły ostatnio dość poważnie od nurkujących samobójczych samolotów japońskich. Atakują one z niesłychanym uporem, a szkody spowodowane wybuchem samolotu-pocisku — są znacznie większe, niż od normalnej bomby lotniczej.

Stwierdzenie radia tokijskiego, że sto milionów Japończyków jest zdecydowanych poświęcić swe życie w obronie złotego Imperium — stanowi miarę wielkości wysiłku, jaki konieczny będzie do osiągnięcia zwycięstwa na Dalekim Wschodzie. Żołnierze 14 Armii nie mają żadnych wątpliwości, że każdy z tych stu milionów złotych diabłów będzie wolał zginąć aniżeli poddać się.

Siły japońskie oceniane są na około 5 milionów żołnierzy armii lądowej. Z tych około 177 dywizji — 39 jest odciętych

przez wojska amerykańskie. W każdym bądź razie musimy mieć pełną świadomość faktu, że zwycięstwo na Dalekim Wschodzie oznacza pobicie około 20 milionów uzbrojonych Japończyków. Prezydent Truman zaprzeczył pogłoskom o rzekomych japońskich ofertach pokory. Nie mamy również co liczyć na kapitulistów i przemysłowców japońskich, że może zechcą ratować swoje fabryki w Japonii jeszcze w większym stopniu niż Niemcy musi być zmiężdżona odwaga i sprzętem brytyjsko-amerykańskim.

Cel jest ten sam co był na Zachodzie — Ta krwawa lekcja dla Prusaków Dalekiego Wschodu musi być osłateczna.

Decydująca bitwa winna stać się wschodniej — która winna stać się punktem zwrotnym historii tej części świata — musi być rozegrana na rdzennym japońskiej i zakoniecznej w obronę jej ziemi japońskiej. Jest to obywatelskie zadanie, które wymagać będzie nie tylko zespolonego wysiłku, ale również

zespolonego długofalowego planowania. Warunkiem wstępnym jest budowa baz wypadowych.

Bazy te wyposażone być muszą w owe miliony — ujęte w karby kwaternistrzów — dyscypliny — artykułów, które żywią żołnierza i współczesny, skomplikowany sprzęt. Dowożone musi być wszystko od proszku chininy po ciężkie działa przeciwlotnicze, od siatki przeciwkomarowej po narzędzia chirurgiczne i wyposażenia szpitali — od maszyny do pisania po buldożery i sztuczne lotniska.

Dywizje, które walczyły do niedawna na froncie europejskim — nim zostaną przetrzone na Daleki Wschód — przejść muszą przez specjalne przeszkolenie. Inna jest ta żółta daleka wojna, ale i ona musi być wygrana.

Licząc najbardziej optymistycznie upłynie sześć do siedmiu miesięcy nim żołnierz zwycięzca Niemców — zmierzyć się będzie mógł z japońskim wrogiem. Być może również, że czekać trzeba będzie rok na „D-Day” wojny daleko-wschodniej.

Sensem strategicznym obecnej operacji jest akcja zmierzająca do odcięcia Japonii od źródeł surowcowych i do totalnego zniszczenia jej systemów komunikacji. Z audycji radia tokijskiego wnioskować można o wzrastającym kurczeniu się zapasów surowców, specjalnie paliwa oraz żywności. Japończycy podejmują szereg prób radiowej z Tokia mówią o licznych preparatach odżywczych z roślin, a stocznie japońskie przystąpiły do produkcji wojennych okrętów... z drzewa.

Wojna ta wykazała, że Japończycy, podobnie jak Niemcy, nie posiadają twórczej wyobraźni. Admiralty japońscy utrzymują z uporem, że lotnictwo lądowe posiada przewagę nad flotą. Ignorują zupełnie fakt, że w strategii morskiej lotnictwo oparte o flotę posiada decydujące znaczenie.

Większość z nas myśli jeszcze ciągle o lotnictwie morskim kategoriami z okresu Pearl-Harbour. Jeszcze ciągle wyobrażamy sobie pojedyncze lotniskowce otoczone i strzeżone okrętami wojennymi. W chwili obecnej lotnicze operacje morskie dokonywane są potężnymi flotami lotniskowców. W poszczególnych operacjach biorą udział zazwyczaj najmniej trzy eskadry lotniskowców. Pierwsza z nich to zazwyczaj pływające lotniska myśliwców — druga lekkich bombowców, trzecia bombowców nurkujących. Oczywiście jest tajemnicą zarówno skład okrętów jak i samolotów. Niemniej nie jest tajemnicą, że operują dziś na morzach japońskich flotyle lotniskowców niosące na swych pokładach po tysiąc pięćset bojowych maszyn. Taka gigantyczna flota lotnicza obejmuje wszystkie typy maszyn bojowych od Liberatorów i Superfortec latających po najszybsze jednoosobowe samoloty myśliwskie. To bogactwo typów pozwala na właściwe planowanie operacji jako całości.

Lotnictwo japońskie ubogie w typy, niemal w całości lądowe, jest zupełnie bezsilne wobec taktycznych, masowych ataków morskiego lotnictwa Sprzymierzonych.

Klasyycznym przykładem młodziących sił lotnictwa morskiego była Iwo Jima. Wyspa ta była bombardowana przez 74 dni. Siedemdziesiąt pięć dni, gdy nie było już komu stawiać oporu — lądowały na niej wojska amerykańskie. Przed lądowaniem na Okinawie zbombardowano ją tak, że nie było na niej startować japońskie samoloty. Japończycy łączeniu z partyzantami i policją ich główne siły anty-inwazyjne. Nim jednak nastąpi inwazja lotnictwo Sprzymierzonych zniszczy japońską sieć kolejową, zredukuje do minimum używalność portów oraz zniszczy żeglugę przybrzeżną, składającą się z małych okrętów, które w trzech czwartych ponoszą ciężar całego morskiego transportu japońskiego. Trzy szlaki morskie wiodące do wewnętrznych wód japońskich są już dziś niemal w całości zablokowane minami. Superfortece i Liberatorzy od wielu miesięcy dniem i nocą pasmami min odcinają Japonię od reszty świata. Dotyczy to również wszystkich większych portów japońskich włącznie z Tokio.

Nigdy się nie dowiemy jak istotnie wielkie szkody poniosła w tej wojnie flota japońska. Jedno jest pewne, że z kłeski tej nigdy się nie podniesie. Od dnia ogłoszenia zwycięstwa w Europie do chwili gdy piszemy te słowa ponad 1000 okrętów japońskich rozmaitych typów poszło na dno. Japońska żegluga zarówno przybrzeżna jak śródlądowa ponosi coraz większe straty, kurczy się a w chwili gdy zamrze sytuacja na wyspach japońskich dojrzeje do inwazji. Łodzie podwodne Sprzymierzonych, flota i lotnictwo morskie odcinają wyspy japońskie od wszystkich źródeł surowców i żywności, od zboża, węgla, miedzi, cynku, manganu, wolframu — od najwitalniejszych elementów składowych każdej maszyny wojennej.

Cel jest prosty. Japonia zostanie osaczona ze wszystkich stron jak osamotniony fort i poddana kompletnemu zniszczeniu. Straszliwe widowiska niedawnej przeszłości — jak płonące największe miasta kontynentu Berlin, lub zniszczone miasta-fabryki w Nadrenii — wydadzą się czymś skromnym i ograniczonym w porównaniu z potęgą zniszczenia jaka spadnie na Japonię.

Kombinowane armie powietrzne brytyjsko-amerykańskie będą w możności zrzucać po 2 do 3 milionów ton wysokopiętnych bomb. Totalne zniszczenie, zrównanie z ziemią w dostównym tych słów znaczeniu całego przemysłu japońskiego jest w tych warunkach jedynie i wyłącznie kwestią czasu. Każdego dnia i wyłącznie kwestią czasu. Każdego dnia niebo nad krajem Kwitnącej Wiśni czarne będzie od bombardujących samolotów, dopóki na wyspach Mikada zostanie cokolwiek warte bombardowania.

Wszystko wskazuje na to, że Japończycy zdecydowali o swoim losie i wybrali narodowe samobójstwo. Nie ulega również wątpliwości, że każdy dowódca brytyjski i amerykański uważać będzie do końca za swój obowiązek zabijając do ostatniego japońskiego żołnierza, który są wieczną groźbą dla Sprzymierzonych i świata białego człowieka.

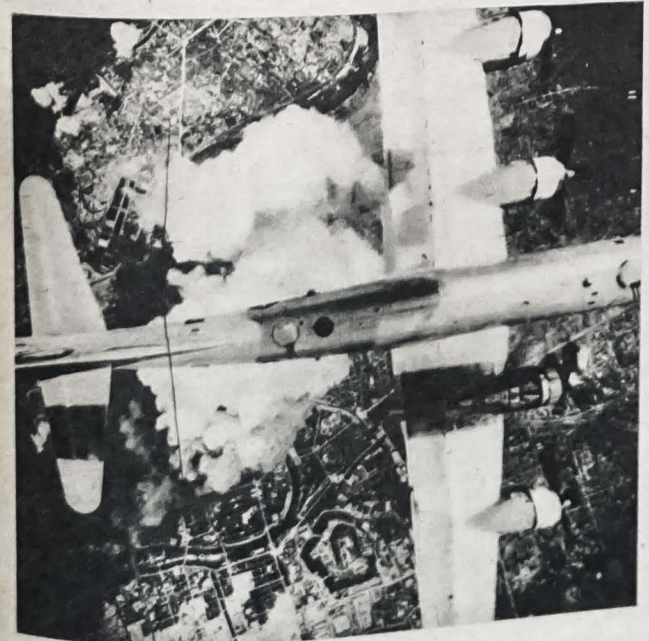


Samolot-bomba — japońskich pilotów-samobójców — porzucony na lotnisku w Okinawie



Po ciężkim nalocie na Singapur. Dymy i chmury — to jedno z transportu rannego. Drogo okupuje żołnierzy zwycięstwa na Dalekim Wschodzie

Bomby na Osaka — jeden z ważniejszych centrów przemysłowych Japonii





Głowa św. Piotra

Część środkowa ołtarza Wita Stwosza w Kościele Mariackim w Krakowie



Zaśnięcie Matki Boskiej — fragment ołtarza Wita Stwosza — kołog Kazimierza Jagiellończyka w wawelskiej Katedrze



Ołtarz Mariacki Wita Stwosza

Jednym z głównych celów polityki niemieckiej było całkowite zniszczenie naszej kultury i jej tysiącletnich śladów w postaci historycznych zabytków, muzeów, szkół, kościołów i innych instytucji krzewiących wiedzę i postęp.

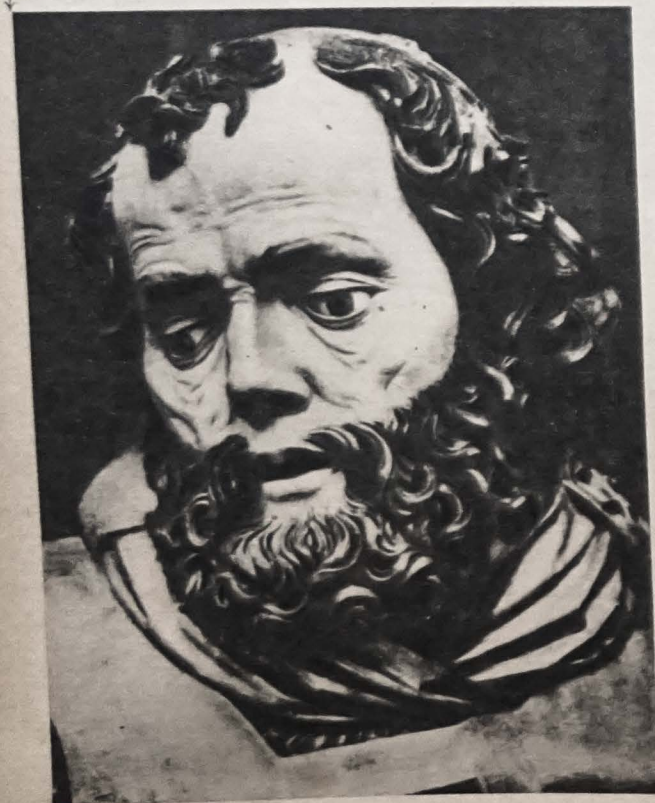
Kraków był szczególnie prześladowany. Przekazany nam słynny ołtarz mariacki Wita Stwosza — perła sztuki schyłku średniowiecza — wydarty z kościoła w Krakowie, w pięknej oprawie, jaką od 400 lat była dlań świątynia gotycka N. P. Marii — i przewieziony do Niemiec. Z fotografii, jakie publikowała prasa niemiecka, stwierdzić było można jak ołtarz ucierpiał na skutek rozbiórki i pozabawienia go szeregu istotnych szczegółów.

Obecnie na jwższy niepokój w sercu każdego Polaka wzbudziła wiadomość, podana przez szefa amerykańskiej misji trudniącej się odszukiwaniem zabytków sztuki — że ołtarz Wita Stwosza z Kościoła Mariackiego w Krakowie znajduje się w Berlinie. W tym celu należało by pory na liście arcydzieł, po których wszelki ślad zaginął.



Zwiastowanie

Głowa Matki Boskiej



Fragment rzeźby — ołtarz Mariacki w Krakowie



Głowa ołtarza — fragment z narożnika części środkowej stwoszo-



PODRÓŻ SŁUŻBOWA

— Jęde do Egiptu!
— Do Egiptu? — koledzy znacząco kiwali głowami. Poklepywali mnie po ramieniu i z uśmiechem, niby dyskretnie, pytali: — Masz dużo pieniędzy?
Co za niedorzeczne pytanie! W moim gronie przyjaciół nie ma takiego, któryby, chcąc czy nie chcąc, nie był moim wierzącym.
— Ależ, ludzie, — tłumaczyłem — ja jęde służbowo!
— No tak, służbowo, niewątpliwie... Hm, to tym lepiej... Wprawdzie teraz mniej płacę, ale zawsze... Sam rozumiesz...
Nie rozumiałem. Nie rozumiałem i uciekłem od nich, właściwie — odleciałem. Na razie tylko na południe kraju, albowiem droga wiodła przez Barę. Bagaż wystawiałem uprzednio. Była to duża pomocniczna skrzynia, nie tyle mocna, ile ciężka. Do samolotu nie wolno zabierać ciężaru ponad 65 funtów, nie miałem zatem innego wyboru. Usługi kolegi, pchor. Mazgaj, mający do dyspozycji Dodge'a 15 cwt, zaproponował mi swoje usługi.
— Rzuć skrzynię na mój wóz! Będzie na ciebie czekała w redakcji.
W 30-osobowym transportowcu złościsz promienie wóskienią słonca urządziły pasażerom wysmienitą rzymską łaźnię. Siedmiokroć wylałem siódme poty. Aluminiowe ściany kabiny rozpalily się jak piec, w takim stopniu, że niesposób było dotknąć się czegoś. W powietrzu było niemniej gorąco, ale i tu temperatura nie była daleka od granicy wrzenia. Delikwenci przestrzeni mokrymi chustkami ocierali pot, narzekali zgodnie na gorąco i nudzili się spałem. Po prawicy miałem starszawą Angielkę (WRENS); ta opasywała się zawsze, ilekroć spojrzęła na dół na drzemające pod nami skrawki tyrreńskiej zatoki i rozpasywała się, gdy spoglądała na mnie. Ziewała przy tym ciągle i przeciągała. Sorry, nie uszyliśmy się tylko dlatego, że wiały od niej albionkie chłody.
W Rzymie, Neapolu, Bari — na każdym lotnisku — snack bary. Żarcie bezpłatnie i bez ograniczenia, zimne napoje — także. W bufcie sterczą pękate misy z mięssem, jajecznica, jarzyna — bierz ile chcesz! Jedna osoba obsługuje cały bar. Sam sobie nakładasz, nalezasz i taskasz do stolika. Kolega, który leciał ze mną, zachęcał:
— Wrzuć na drabinę, ile możesz! Jerzy funduje...
Zachęta była zbyt uczynna. Podobna sposobność nie nadarza się codziennie, więc sam wiedziałem, co mam robić. Zachwycony wspinałem się do urządzenia lotniczych snack barów, miałem nawet zamiar schować do teczki większą wazę ze śmietaną — na później. Daje jednak spokój, uswiadomiwszy sobie, że mój nabytek szybko skwaśnieje.
W Bari, w redakcji dziennika, radośnie przywitał mnie szef.
— Dobrze, że pan przyjechał. Swego czasu wypłaciłem panu za reportaż o pięćset lirów za dużo. Omyłka zaszała przy obliczaniu wierszy. Pan będzie uprzejmy zwrócić nadwyżkę.
Zwróciłem. Trudno pobrać honorarium, jeszcze trudniej — zwrócić. Co miałem zrobić? W rękach szefa znajdowała się moja skrzynia.
— Podchorząży Mazgaj? — spytałem.
— Zachorował. Dostał w drodze ataku wyrostka robaczkowego i zabrano go do szpitala... Dlaczego się pan tak przeraził? Mam poważne obawy, że szybko wyzdrowieje.
— Mnie o skrzynię chodzi.
— Skrzynia? Taka duża, żelazna? Owszem, była tu taka. Nie miałem żadnej dyspozycji, nie wiedziałem, co z nią zrobić — odesłałem ją do Referatu Kultury i Prasy, do Monte Spaghetti. Dużo było dla nich paczek, myślałem, że i skrzynia do nich należy.
Podłoga redakcji rozstąpiła się pode mną.
— To daleko stać?
— E, nie, wszystkiego 60 kilometrów. Pojechałem autostopem, przejeżdżając się czterokrotnie. Trzęsło i burza; po kilku kilometrach jazdy podobny byłbym do młynarza. W referacie:
— Co, skrzynia? — starszy strzelec o

fizjonomii i tuszy dyrektora kartelu wrzucił ramionami. — Nie przypominam sobie. Tyle tu skrzyń i paczek przychodzi...
Panie Zgola, może pan coś wie?
Pytał Zgola zgoła niepotrzebnie, ten nie wiedział nic. Wiedział natomiast referatowy kierownik.
— Skrzynia pojechała do 63 Szpitala Polowego — murl. Nie wiedziałem, co z tym fantem zrobić, nikt się do niej nie przyznawał, a do szpitala często odsyłamy paczkę gazet, książek i różne rzeczy dla chorych.
— Daleko do szpitala? — jęknąłem.
— To zależy. Czym pan jest z zawodu?
— Porobca podatkowy.
— No, to pan na przelaz za półtorę godziną zajdzie — wszystkiego dziewięć kilometrów. Wozu o tej porze pan nie złapie.
Poszedłem na przelaz. Miasteczko, przy którym rozpozłożył się szpital, jak wszystkie osiedla włoskie, zbudowane było na wzgórzach, spiekota była bezlitosna — odbyłem cudowny spacer.
Obszedłem cały szpital: izbę przyjęć, kancelarię ogólną, kwatermistrzostwo, sklepik, kuchnię, aptekę, łaźnię, pralnię, dezynfektor. W drodze do kostnicy zaszedłem do jednej ze świetlic. Urzędująca tu młoda, fertyczna panienczka na moje pytanie odparła:
— Voilà! Został pan stać, ja za moment załatwię.
Biedaczka urodziła się i wychowała w Lotaryngii, niedawno przybyła z niemieckiego obozu koncentracyjnego.
„Zostałem stać”, przestępując zresztą z nogi na nogę, jak abiturient akademii smorgońskiej. I pode mną palił się grunt. Piękna świetliczarka tymczasem zajęta była rozprzedając gazet. Kupujących było bez liku. Mimo doskonałego wzroku nie udało mi się dojrzeć końca „kolejki!”
— Farosz zabrać ta skrzynia — rzekła mi wreszcie, gdy sprzedała ostatni egzemplarz.
Okazało się, że skrzynię odesłała do księdza kapelana. Często tu przychodzą nieadresowane paczki z książkami, gazetami i różnymi podarkami dla chorych. Ksiądz zajmuje się rozdaniem. Ponieważ skrzynia przybyła wraz z innymi paczkami, świetliczarka była przekonana, że to dar dla chorych żołnierzy.
Dobre sobie! W mojej skrzyni były właśnie same książki, czasopisma, gazety. Ksiądz mieszkał w mieście, odległym zaledwie o dwa kilometry. Wartości, urzędujący w budce na przedmieściu, niewzruszony, powtarzał w kółko: — Przejrzałem Chorym nie wolno ubierać się i chodzić do miasta.
Wystarałem się o przepustkę i pobiegłem co tchu. W drodze trafiła mnie myśl: — Umieszczą li choć podziękowanie w prasie hojnie, anonimowemu ofiarodawcy?
Ksiądz spożywał kolację w kasynie. Wpadłem jak bomba rakietowa.
— Co ksiądz kapelan zrobił z moją skrzynią?
Ksiądz flegmatycznie krajał befsztyk. Połknął większy kęs, otarł spokojnie usta, po czym spojrzął na mnie z poza okularów, chcąc widocznie ustalić czy przypadkiem nie jestem zbiegiem z oddziału psychiatrycznego. Wolniutko wycedził:
— Synu drogi, nie wiadomo mi nic o żadnej skrzyni. Jestem biedny sługa Boga, skąd do mnie jakaś skrzynia? I nie posadzą, żebyś sam... Ale to ci powiem: jest nas tu dwóch kapelanów, może starszy coś wie...
Pobiegłem do tego starszego. Mieszkał w jakimś zatraconym zaułku, na trzecim piętrze. Byłem mokry zanim odnalazłem tę dziurę, bolały mnie głowa, ręce, nogi.
Zastałem drzwi zamknięte. Z sąsiedniego mieszkania wyjrzała jakaś stara, brudna Włozka.
— Niente cappellano! Wyjechał na dwa dni do Matery. Tu jest zeszyt, można się wpisać — podała mi załuszczonego, pomięty zeszyt i dwucentymetrowej długości otówek.
Nie miałem zamiaru wpisać się do tej księgi audycjonalnej. Dwa dni! Boże kochany, przez ten czas może odpłynąć statek! Co wtedy? Przecież tam na mnie czekają!

Pobiegłem szukać organisty, zakrystiana czy innego kościelnego. Może coś wie? Kaplica znajdowała się w południowym końcu szpitala — znowa przez pustkę. Szczęściem trwały jeszcze godziny przyjęć, więc nie fobili trudności.
Kaplica, zbudowana z kilku „sprężonych” namiotów, pusta była jak wymiół. Za ołtarzem, w absydzie pełnej różnych rupci, siedział jakiś starszy wietniemi żołnierz, zajęty przyszywaniem guzików do bluzy.
Padłem bez sił na jakieś paki, oddychałem z trudem.
— Panie kolego, czy do księdza nie nadeszła jakaś skrzynia metalowa?
— Che che che, przecież pan siedzi na niej!
Zerwałem się na równe nogi, odzyskałem siły i lepszy nastrój. Tak, to była moja skrzynia — przedmiotem tylko udęk i zachodów. Była zawalona jakimśiś paczkami, więc nie zauważyłem jej odrzutu. Moja skrzynia!
— Panie, co ja się nadzwigałem tego... Ciężkie to, jak nie wiem... Stary jestem, chory, za jakie grzeszys... A tu wszystko pakują, trzeba czy nie trzeba — wszystko do księdza. Patrzą pan, ile tu paczek...
W szpitalu odnalazłem dwóch kolegów. Ci nie mogli udzielić mi pomocy przy odniesieniu skrzyni do szosy — byli jeszcze bez protez. Zanościłem ją sam.
Pierwszy wóz, który jechał w powrotną stronę, zatrzymał się ze zgrzytem hamulców tuż przede mną. Wykoczyła zeń młodziutka pestka w pięknie skrojonym, nowiułkim kombi. —
— Proszę bardzo, niech pan siada, podwożę pana.
Pomogła mi załadować skrzynię. Siadłem przy niej w szoferce. Pojechaliśmy.
— Pan ze szpitala, prawda?
— Tak jest.
— Długo pan leżał?
— Sześć miesięcy.
— Mój Boże, naciępał się pan duży! Jaki pan strasznie bładyl! Co panu było? Wypięciem bohaterko piersi.
— Zostałem postrzelony podczas natarcia na Monte Nabujali. Niemiecki spadochroniarz rąbnął mnie z Faustpatronu prosto w nerki. W szpitalu zrobili mi amputację, opcję, odmę, transfuzję i transplantację. Gdyby nie to, ho hol — kto wie? — już bym dawno wykitował...
— Jak się pan czuje teraz?
— Dziękuję, trochę słabo, ale to przejdzie.
— Pan teraz do Ozdrowieńców?
— Nie, do Obozu Przejściowego. Nie chcę się włożyć, muszę jechać prosto do oddziału, do s w e g o plutonu.
Ująłem sobie dziewczynę. Podwoziła mnie pod sam namiot kancelaryjny.
— Niepotrzebnie się pan spieszył, — mówił szef Obozu oglądając mój Movement Order — statek odepdzie dopiero za jakieś trzy tygodnie.
W San B. — włoskiej Saharze — wiał przemiły hamsin. Suchy, ziarnisty piasek zasypywał namioty, kocy, legł na sponocnych twarach i ciatach, wdstawał się do butów. Gorąco odbierało chęć do życia. Ani gdzie pójść, ani gdzie się położyć! Wafesałem się jak błędny, miałem zapiaszczone włosy, nos, usta a w głowie — hamsin. Byłem chory ze złości i zły z powodu choroby. Trzy tygodnie!
Co dzień autostopem do Wydziału Ruchu: — „A może jednak?” Kursowały różne pokrępowane plotki, że to już, że wróćcie... Pani sierżant podchorząży spojnie podurwała nosok: — Nic nie wiemy, zresztą to tajemnica, sami będziemy wiedzieli dopiero dzień wcześniej. Tymczasem niech pan złoży pieniądze do wymiany, zarejestruje się, zaprowiantuje, podpisze deklarację...
I tak w kółko.
Transoceaniczna rudera, jakiś wrak, po raz któryś wylowiony z dna morskimi, rozklekotana balia, zapchana od maszynowmi aż po kapitański mostek, zabrała nas wreszcie na morze. 5000 ludzi ścisnęło się w tym paskudztwie. A pruć to było bałwany morskie z zawrotną szybkością jednego węzła na godzinę. Przy takim tempie trudno o chorobę morską, łatwo — o rozstrój nerwowy.
Gorąco, wentylacja słaba, żarcie — podłe, przed W. C. — kolejka, w umywalniach — tłok, wody — mało. Naj-

więcej było na statku Hindusów i Włozek. Ci ostatni jechali po bojach w Włozkach na urlop. Byłem zdumiony. Nie wiedziałem, że Brygada Żydowska w ogóle liczy tyłu żołnierzy.
— Dużo was jeszcze zostało we Włozkach? — pytam któregoś.
— Co nie miało zostać, co? Czy wszyscy muszą jechać od razu?
Polacy politykowali, Anglijki grali w loteryjkę, Australijczyrzy rzucali strzałki do tarczy, Hindusi godzinami siedzieli bez ruchu, Żydzi wystawali przed siebie.
Megafony okrętowe skrzeczały: — Attention please! Wszyscy chorzy na zółdek...
I tak cztery doby przez ten stróżny stawek, przez to brudne korytko. W Port Saidzie witano mnie zyczliwie dawno nie słyszanym, bliskim sercu i miłym dla ucha pozdrowieniem: — Bakszys!
Nie wytrzymałem nerwowo na portsaidzkiej plaży. Ucieklem, haniębnie po ciemkiem pierwszym pociągiem. Zamiasz, jak na dobrego żołnierza przystało, pojechać do Obozu Przejściowego i posiedzieć tam ze dwa tygodnie na hamsinie — pojechałem bezpośrednio do Kairu.
Pociąg dowlókł się o dwunastej w nocy. Wygramoliłem się ze swym bagażem na ulicę i...nie mogłem dostać taksówki. Stałem beznadziejnie, gdy koło mnie przemijały ich setki. W mieście, mającym zarejestrowanych 40.000 pojazdów mechanicznych, nie mogłem dostać taksówki. Dosedłem do przekonania, że to typowa przesładowa mnie rzecz: fatum — nazywają ją Rzymianie, moira — Grecy, pech — zwykli jadające chleba.
Znalazł się wreszcie Arab. We dwóch, obładowani, on skrzynią, ja — workiem, plecakiem, chlebakiem, maską pgaz, defilowaliśmy przez oświetlony reklamami i latarniami wózów Kair — do hotelu.
Nie spałem tej nocy. Arabowie urządzili na moją cześć „fantazyję”, ich piękne wschodnie śpiewy wprowadziły mnie w stan katepetyczny. Wszystkie plaski Egiptu odlepiły mię tę noc.
Rano, w Komendzie Placu, pani przybijając pięćdziesiąt do mojego Movement Order'u, rzekła:
— To nic, że pan ominął Obóz Przejściowy. Głupstwo! Wyślą za panem listy gończe, będzie pan miał sprawę sądową o dezerację.
Stałem ze spuszczoną głową, mącąc beret w ręku.
— Ha trudno!... Może mi pani powie, gdzie się mieści redakcja dwutygodnika „Zawada”!
— To bardzo blisko stąd. Zna pan Groppi'ego?
— Nie znam, jestem pierwszy raz w Kairze.
— To nic, Groppi'ego powinien pan znać. Od niego pójdzie pan w prawo. Ulica Chareh El Antik-Khama El Masria — nie łatwiejszego do zapamiętania, Numeru domu nie znam.
Pojechałem taksówką. Tym razem znalazłem. Potem defilowałem beznadziejnie po ulicy. Pytałem się Anglików, Arabów, Greków, Żydów, Sudańczyków.
Przed wystawą sklepu kosmetycznego stała jakaś blond ATS'ka. Na ramionach — złote „PRO”. „Na pewno z jakiegoś Joint Publications Directorate, pomyślałem, ta będzie wiedziela”!
Nieznacznie podciągnąłem pasa, sprawdziłem czy mam nasówki na ramionach, poprawiłem beret i, kłaniając się szarmancko, spytałem swą nieskazitelną angielszczyzną:
— Permessol you don't know dov'e andare... camminare...
ATS'ka odwróciła się i — oceniając mnie krytycznie od stóp do głów — stuknęła się wymanikurowanym paluszkiem w pięknie srebrem wyhaftowanego orzełka.
— Nie widzi pan, że jestem Polka.
— Bardzo przepraszam... to znaczy, bardzo mi miło... Czy nie wie pani, gdzie się mieści redakcja „Zawady”?
— Wiem, jestem z redakcji...
— A to pięknie. Jestem Wyrodek... Wademar Wyrodek...
— Zapatrzona w kryształowy korek flakonu „Chanel”, podała mi malutką aksaminą rączkę, wielkości biskopicka.
— ...ówna.
— Jestem korespondencyjnym współpracownikiem „Zawady”...
— Nie zauważyła pan stała...
— ...teraz przyjechałem.
— Widzę.
— Czy może mi pani wskazać redakcję?
— Jak pan przyjechał — to proszę, zaprowadzę.
W windzie, unoszącej nas na któreś tam piętro, przyjrzała mi się bacznie jeszcze, od starego beretu do nowych pantofli. Obdarzyła mnie wdzięcznym śmiechem i miłym, melodyjnym głosem — rzekła:
— Do diabła ciężkiego, nie mógł pan pozostać we Włozkach...
w końcu był na statku Hindusów i Włozek. Ci ostatni jechali po bojach w Włozkach na urlop. Byłem zdumiony. Nie wiedziałem, że Brygada Żydowska w ogóle liczy tyłu żołnierzy.

NOC w domu Derwiszów

Tadeusz Wittlin

Jeśli zapuścić się w labirynt krętych uliczek u stóp wyniosłej Cytadeli starego Kairu, można znaleźć się na dziwnej kamieniu o wąskich, zakratowanych oknach wznosi się stary klasztor Derwiszów — Tekija Solimania.
Błękitno-czerwono-złote inkrustacje zdobiją odrzwia tego trzysta lat liczącego budynku, dokąd wejść może każdy, szczególnie jeśli nie poskapi bakszysu. Szesnaście połączonych kolumn wspierających sklepioną dworką krużganków otacza wewnętrzny kwadrat patio-podwórza nakrytego granatem nieba. Okratowane, deskami zabite okna i ciężkie, okute drzwi cel Derwiszów biegną wzdłuż ścian podcieni. W głębi czerwono-płonie rozpalone ognisko. Przy nim kona z żaru i pragnienia latarnie rzucają gromniczne światło. Wokół na murach, złotem i czerwienią haftowane chusty głoszą: „Nigdy nie jest smutny ten, kto w każdej potrzebie powierza się Bogu”, lub „Nic nie będzie dobrym bez pomocy Boga”, bądź też: „Gdy Bóg spogląda w twe serce, czyni dobrem każde dzieło twoje”.
W klasztorze żyje dziś siedemnaście Derwiszów, którzy nigdy nie wychodzą na światło dzienne. Posiłek otrzymują przez okno, a cele swe opuszczają jedynie raz na tydzień w środę, w nocy gdy schodzą się na nabożeństwo. Opiekuną się nimi ich sześć i przeeor Ibrahim Fawsi. Jest to świecki, młody mężczyzna, przystojny i wyszkolony. Godność tę, która jest dziedziczna i przechodzi z ojca na najstarszego syna piastuje jego rodzina już od stu pięćdziesięciu lat. On dba o ich jedzenie, przyjmuje ich do zaboku, opiekuje się nimi w chorobie, a zmarłym urządza pogrzeby.
Tuż przed północą z oświetlonych kaganików نور, wypełniają Derwisze. Boso, w dziwnych zniszczonych szatach, raczej strzępach odzienia. Murzyni, mulaci, piętniem tatużu poroani miedzianymi Sudańczycy. Starzy, pomarszczeni, w fezach, w turbanach, w wysokich wełnianych czapach. Wstępują na zasłany słoneczną rogóżką podwórzec i stają rzędem twarzą do kłęzącego na rozciągłej baraniej skórze młodego przeeora.
Rozpoczyna się Zygr — nabożeństwo tańczne. Ibrahim Fawsi intonuje modlitwę. Derwisze chórem powtarzają jego słowa, poczym kłęją i klaszcząc do taktu w dłonie, zawodzą monotonna pieśń. Od strony ogniska nadchodzą wysoki Arab w białej chlamidzie z mięsionym puharem w rękach. Zbliża się do miejsc modłów, zrzuca sandały, poczem stawia



Rys. E. Matuszczyk

grzmoty bitych bębnow, muszą pioruny gongów. Zgodny chór powolnego tańca przechodzi w cwał, wpada w galop. Derwisze charczą skwada, kołują, czołem biją o ziemię, aż wreszcie nieprzytomni, w samobójczych transie zatrzącają poczucie wspólnoty. Jeden boryka się z niewidzialnym przeciwnikiem, inny dzierżąc w dłoniach wyśnioną kosę ścina niewidoczne zboże, ów zatacza półkole jak gdyby ział sierpem, jeszcze inny wznosi ramiona, gnie się w pas i ryje ziemię grabiami rąk. Szaleje opętawsza kosba modlitwy, hućzy niesamowite żniwo nabożeństwa. Tańczą Derwisze. W lewo, w prawo, w przód i w tył, w górę, w dół, w bok i w koło. A wraz z nimi tańczą ich czarne cienie na ścianach klasztoru w cmentarnym świetle latarni, w czerwieni rozchobotanego paleniska. Chwilej się zawieszono lampy, pochylają się suchotnicze drzewa ogrodu, zamkniętego za więziennymi kratami parkanu u Nieomal gną się tancecnie koinny u skraju przykrzywającego podwórzec niekraju, skąd miedziarz księżyc spogląda na ba, skąd miedziarz księżyc spogląda na braci Somnambulików.
Wreszcie, gdy sily ludzkie ustąpią przed transem fanatycznym, wir tańca

Rys. E. Matuszczyk



Pomnik Kopernika na dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie